

Izabela Meyza

Szarlatanka

MO
VA



Izabela Meyza

Szarlatanka



Redaktorki prowadzące: Agata Ługowska, Ewelina Kapelewska

Wydawczyni: Monika Rossiter

Redakcja: Filip Modrzejewski

Korekta: Katarzyna Sarna

Projekt okładki: Tomasz Majewski

Zdjęcie na okładce: Pieter Claesz *Vanitas – Still Life*,

Jan van Huysum *Vase of Flowers* / Wikimedia Commons;

Guido Reni *Portrait of a Woman* © Birmingham Museums Trust /

Unsplash.com; © Sad / Stock.Adobe.com

DTP: PageGraph.pl

Copyright © Izabela Meyza, 2025

Copyright © 2025, Mova an imprint of Wydawnictwo Kobiectwo

Agnieszka Stankiewicz-Kierus sp.k.

Wszelkie prawa do polskiego przekładu i publikacji zastrzeżone.
Powielanie i rozpowszechnianie z wykorzystaniem jakiejkolwiek techniki
całości bądź fragmentów niniejszego dzieła bez uprzedniego uzyskania
pisemnej zgody posiadacza tych praw jest zabronione.

Wydanie I

Białystok 2025

ISBN 978-83-8371-904-7

Grupa Wydawnictwo Kobiectwo | www.WydawnictwoKobiectwo.pl



Część I



WIEŚ

1

Agata podniosła głowę z poduszki i spojrzała przez okno. Nad światem wisiały mgły. Przesunęła się na brzeg łóżka, ziewnęła i postawiła stopy na podłodze.

Koszula nocna była tak długa, że idąc przez kuchnię do sieni, Agata zmiotła wszystko, czego nie zdążyła posprzątać wieczorem: okruchy chleba, pojedyncze włosy i zakrwawiony bandaż. Powinna była to zrobić wczoraj. Teraz nie pora na to, już za późno. W sieni pożałowała, że nie założyła kapci. Kiedy otworzyła drzwi, chłód wdarł się do środka i podkułiła palce stóp, a całe jej ciało, przykurczone ciało starej kobiety, napięło się na zimnie jak struna porządnie zrobionych skrzypiec.

– Jesteś tam? – krzyknęła w dal. Choć wkładała w patrzenie tyle wysiłku, na ile pozwalały jej zmęczone życiem oczy, nie widziała nawet ściany stodoły. – Odezwij się, jak jesteś.

Cisza.

– Nic to, jak nie ma, to nie ma – szepnęła do siebie, wędrując z powrotem do sypialni.

Płynnym ruchem ściągnęła z pleców nocną koszulę. Piersi opadały teraz swobodnie i choć ciągnęło je ku ziemi, sterczące od zimna sutki nadawały im świeżości. Spojrzała na swój

wklęsły brzuch, nawet wprawne oko nie rozpoznałoby, że kiedyś nosiła tam dziecko, oraz na niewielkie dłonie, które oplatała sieć grubych zmarszczek, znak, że dużo ich w życiu używała. Wykonywała nimi prace kobiece i męskie, bo nigdy nie miała przy sobie mężczyzny, który mógłby ją w tych ostatnich wyręczyć. Miała kilku na dochodne, niektórzy zostawali na noc, a inni na kilka tygodni, ale przez całe jej życie żaden z nich nie podjął się pracy u jej boku. Codziennosc, tak nauczono ją myśleć, jest dla mężczyzny za trudna.

Każdy – gdyby tylko skierował na nią wzrok – mógł dostrzec zamknięte w niej żywotność i siłę. Tyle że nikt od dawna na nią nie patrzył. Jedyne częścią ciała, która pozostawała widzialna, była jej twarz – pomarszczona, zastygła raz w lekkim uśmiechu, innym razem w melancholii, smutku lub strachu. Dla wielu przeciętna twarz starej kobiety. Nie, twarz Agaty nie była przeciętna. Najwięksi filozofowie, ślęcząc nocą i za dnia nad książkami, teoretyzując o początkach i końcach życia, o naturze władzy i wszechświata, liźnęli zaledwie substancji, która dodawała życia jej rumianym policzkom. Tworząc najmądrzejsze traktaty, które stały się potem – nieraz przez przypadek lub ze zwykłego szacunku dla mężczyzny ze skrywaną nerwicą – filarami kultury, z rzadka tylko doznawali tego, co osadzało się z wielką swobodą w zmarszczkach kobiety.

Czym było to coś? Dość powiedzieć na razie, że Agata, która doznała życia za śmierci i śmierci za życia, znała tę substancję jak własną kieszeń.

Chwyciła leżące na krześle pończochy i zaczęła je nawlekać. Najpierw stopy. Kiedy się schyliła, kości kręgosłupa wydały ostry dźwięk. Niespiesznie kierowała dłonie w stronę łydek, ud i łona. Poglaskała je łagodnie, po czym założyła majtki. Ubrań miała niewiele, wszystkie poskładane w dwie kupki: codzienną

i wyjściową. Dziś interesowała ją ta druga. Włożyła wełnianą spódnicę, która mimo bycia nadgryzioną tu i ówdzie przez mole, wciąż wyglądała na odświętną. W talii ścisnęła ją paskiem. Następnie pogładziła dłonią dwie bluzki z wyjściowej kupki.

– Może ta błękitna? – szepnęła do siebie, przekrzywiając przy tym głowę niczym zdziwiony ptak, po czym chwyciła jednak w dłonie czerwoną, aksamitną, i otuliła nią piersi.

Kiedy już się ubrała, chwyciła szczotkę i płynnym, rytmicznym ruchem rozczesała włosy, które następnie zwinęła w zgrabny kok.

Nie, kok nie pasował.

Odpięła szpilki i ponownie puściła włosy luzem. Były siwe, długie i szorstkie jak rzysko.

– Jesteś już? – krzyknęła tym razem przez otwarty kuchenny lufcik, ale znowu nikt nie odpowiedział.

Jest czy go nie ma?, zapytała świata, rozglądając się na boki, jakby chciała wyczytać odpowiedź z tego, co widziała za oknem. Ale świat nie mówił nic.

Na wszelki wypadek wychyliła się ponownie i zawołała:

– Jak jesteś, to poczekaj jeszcze chwilę.

Jej oddech krążył równo po klatce piersiowej, wprawiał w falowanie brzuch i mocno osadzał stopy na ziemi. Niedługo będzie gotowa.

Agata podawała w wątpliwość – i być może to ją najbardziej różniło od pozostałych kobiet ze wsi – sens rozpalania porannego ognia. Tego dnia postanowiła jednak zjeść coś solidnego, by okrytemu lekkim aksamitem brzuchowi zapewnić dodatkową odrobinę ciepła. Wygrzebała z pieca wczorajszy popiół i wyjęła zapalki. Czekając, aż drewno na dobre się zajmie, ponownie wyjrzała na zewnątrz.

Wreszcie go zobaczyła. Przestępował z nogi na nogę. Uchyliła okno i krzyknęła:

– Stój, gdzie stoisz, zaraz do ciebie dołączę.

W odpowiedzi usłyszała dziwny dźwięk, jakby skrzeczenie.

– Nie charcz tak, daj człowiekowi w spokoju dokończyć śniadanie – dodała i nie czekając na reakcję, podeszła do kuchni i nałożyła sobie odgrzewanych ziemniaków.

Rozkoszowała się ciepłem rozchodzącym się w brzuchu. Jej policzki rumieniły się coraz bardziej, a dłonie niecierpliwie ocierały się o pomarszczone przedramiona. Siadła przy oknie i patrzyła, jak mgła rozstępuje się na boki. Tak, nastała pora, żeby wyjść z domu, nie ma co się ociągać. Okutała się ciepłą chustą i upewniwszy się, że ogień pod płytą niedługo zagaśnie, ruszyła w stronę lasu.

Trawy szeleściły pod jej nogami, lekki wiatr zaglądał pod jej spódnicę. Zamiast się tym cieszyć, Agata rozglądała się nerwowo na boki.

Mężczyzna czekał na nią pod lasem. Kiedy stanęła obok niego, poczuła spokój i rozchodzące się po ciele podniecenie.

2

Dzień, który właśnie się zaczynał, był zwyczajny. Psy budziły się powoli, wylizując się leniwie, dopóki nie ożywił ich zbliżający się traktor lub szukający jedzenia lis. W rozrzuconych między polami domach zaczynało się poranne poruszenie, czego świadectwem był dym unoszący się z kominów. Tego dnia o świcie wszystkie dachy we wsi zabłyśły od słońca, które – szybko pożałowawszy tego gwałtownego ruchu – schowało się za stalową powłoką chmur, by już do końca dnia pozostać w ukryciu. Ale nawet to, biorąc pod uwagę panujący w okolicy zimny klimat, było zwyczajne.

Na jednym krańcu wsi, tym od strony miasta powiatowego, stał dom Lusi i Gedymina. Od frontu miał wielki zabudowany taras. Kiedyś pojedyncze szybki, z których się składał, łagodnie wpuszczały słoneczne światło, prowadząc je do jadalni. Teraz wiele miejsc po nich było zapchanych starymi rajstopami. W lecie wyjmowano je z okna i taras służył jako półotwarta jadalnia. Zimą znów zapychano ziejące otwory, żeby mróz nie trafił do domu. Nad tarasowym oknem wisiały ułamane zdobienia z drewna: zwierzęta i ptaki, którym czas poobrywał ogony i skrzydła, zostawiając je w nagiej formie. Niektóre

z przegniłych elementów zostały odpilowane, jakby gospodarze nie mieli ochoty lub funduszy, by odnowić zwierzęce postacie, o których obecność w swoim domu wcale się nie prosili.

Na kolejnym krańcu, tym położonym bliżej lasu, stał nadgryziony zgnilizną dom Lupusów, którzy wstali dziś nadzwyczaj wcześnie. Wysoki mężczyzna, podciągając spodnie do góry, usiadł na ganku. W jego kierunku zmierzała uginająca się pod ciężarem wiader kobieta. Rzucające przed siebie błotem dziecko omijało ją tak, jak omija się dziury w drodze, od niechcenia i bez zbędnego hamowania.

Reszta domów stała pomiędzy gospodarstwami Lusi i Lupusa, jakby ktoś je porozrzucił bez ładu i składu. Między nimi rosły wysokie, proste topole i wiała się gliniasta droga, która w suche dni była pokryta głębokimi koleinami.

Teraz, o poranku, w domach zawsze było coś do zrobienia. Kobiety wkładały do garnków kaszę i warzywa. Szykowały napar z kory wierzbowej na bolące stawy, zmiatały z podłogi kurz albo ćwiartowały kurę na zupę. Ze wszystkim musiały zdążyć, zanim kwik zwierząt i niemowląt będzie na tyle głośny, że nie da się już go ignorować.

Mężczyźni w czasie porannych rytuałów zazwyczaj pozostawali w łózkach i czekali, aż ich popychane siłą inercji żony jedną ręką zedrą z nich pierzynę, podsuwając pod nos kawę z cykorii. Dzieci, bezkształtne zlepki skóry i włosów, naciągały na ciała puchowe poduchy z nadzieją, że matkom zdarzy się któregoś z nich nie zauważyć. Ale matek nie da się oszukać. Z chłodną bezwzględnością – taką samą, z jaką traktowały swoich mężów i z jaką mężowie je traktowali – szturchały jedno po drugim, zaganiając do obory. Krowy bowiem tego dnia ryczały ani mniej, ani więcej niż zazwyczaj, upominając się o dojenie.

O poranku ludzie chodzili okutani od stóp do głów, bo o tej porze roku ciepło było w Przypadce szczególnie pożądane. Jego skromne zapasy mieszkańcy chowali w głębi samych siebie, niechętnie dzieląc się z otoczeniem. Wyjątkiem były dzieci – posklejane ze sobą podczas snu, a po przebudzeniu turlające się razem po podłodze, szturchające stopami pod stołem lub trzymające się za ręce w drodze do szkoły. Wraz z wiekiem jednak granice ciał ludzkich stawały się wyraźne, mimo to nikt nie pytał o zgodę na ich przekraczanie. I niezależnie, czy chodziło o dotykanie pod pierzyną tego, z kim przyszło spać, o leczenie ran, iskanie włosów w poszukiwaniu wszy, wszyscy jakoś się z tym oswoili.

Także i Lusia oswoiła się z ciałem swojego męża Gedymina, które choć przysparzało jej męki samym swym istnieniem, było przez nią starannie pielęgnowane od wielu lat. Śniadanie jednak lubiła jeść w samotności, z dala od sypialni. Popijała długo kawę i patrzyła na rozciągającą się za kuchennym oknem drogę, wypatrując mleczarza. Ten przybywał do wsi o różnych porach, zależnych od tego, jak dużo wypił poprzedniego dnia i jak wielu mleczarzy wypilo więcej od niego – wtedy musiał ich zastąpić, objeżdżając wsie należące do ich rejonów. Spóźnić się nie mógł tylko w największe upały, bo wtedy – choć mieszkańcy zapobiegliwie umieszczali bańki w miskach z zimną wodą – mleko szybko kisło i już kilka godzin po wydoleniu nie nadawało się do niczego. Niezależnie jednak od sytuacji i pory roku rankiem dosiadał ciągnika, posuwając się po prostej lub zygzakowatej trajektorii. Jeśli była zbyt zygzakowata, zarówno mleczarz, jak i patrząca na niego przez okno Lusia modlili się, żeby bańki z mlekiem się nie przewróciły, bo oznaczałoby to ogromną stratę finansową dla mleczarza, a być może także równałoby się utracie pracy.

Tego dnia mleczarz przyjechał nadzwyczaj wcześniej. Zatrzymywał się przy domach, gdzie na zbitych z desek ławkach ludzie ustawili bańki z mlekiem, a następnie jedną po drugiej umieszczał na przyczepce. Nie spieszyło mu się nigdzie, podobnie jak obserwującej go Lusi.

Kiedy ostatnie kawałki podgrzanego na patelni sera wylądowały w jej żołądku, a po kawie zostały tylko fusy, wzięła jeszcze kromkę i moczyła ją – kawałek po kawałku – w wodzie z cukrem. Rozkoszowała się smakiem jędrnego pieczywa, w którym kwaśność chleba łączyła się z lepką słodyczą. Dopiero kiedy zjadła wszystko, co do okruszka, a mleczarz odjechał, odezwała się do męża.

– Gedzio, pora wstawać – krzyknęła trochę zbyt głośno i poszła do sypialni.

Gedymin rozszerzył nozdrza, wpuszczając w siebie zapach płynący z Lusinych ust.

– Co ty? Jak jakiś pies mnie obwąchujesz. Nieładnie tak, kochanieńki, nieładnie. – Odsunęła się od niego i spojrzała na łóżko. – Jaki żeś bałagan zrobił. Jak się tak będziesz wiercił nocami, to cię zostawię samemu sobie. Złośliwie tak robisz czy co? – Spojrzała na niego z wyrzutem, jakby czekając na odpowiedź. – Nie widzisz, że brakuje mi już sił? Kto mi wynagrodzi te wszystkie lata życia? No kto? Ani twój majątek, ani nic. Nic nie jest warte krzyża, który przez ciebie noszę. – Odwróciła się od niego i zabrała się do ogarniania łóżka.

Wzdychając raz po raz nad niesprawiedliwym losem, ułożyła na prześcieradle przesadnie chude nogi Gedymina, których palce były zwinięte pod siebie jak ogon przestraszonego psa. Z boku Gedymin przypominał pomnik, który ktoś wykuł z marmuru, a następnie, zapiszwszy lub oddawszy się drobnym przyjemnościom życiowym, zapomniał postawić na cokole.

Nawet mimika podkreślała jego pomnikowość: była przesadzona i zazwyczaj wyrażała zdziwienie, smutek lub entuzjazm nieadekwatne do sytuacji. Odkąd leżał, zmarszczki zrobiły się jakby głębsze, a każdy gest – być może z racji tego, że wykonywał ich mało – wydawał się bardziej znaczący.

Mężczyzna powoli otwierał i zamykał oczy. Przyglądał się swoim zgiętym kolanom, a potem machnął ręką kilka razy, jakby właśnie dyrygował niewidzialną orkiestrą.

– Nie waż mi się przeszkadzać, łapy trzymaj, gdzie ich miejsce – wyrzuciła z siebie zasapana Lusia. – Mówiłam, żebyś był grzeczny, bo sobie stąd pójdę i zostaniesz taki brudny i nienakarmiony.

Wróciła po chwili z talerzem wypełnionym mleczną breją.

– A niech to, zapomniałam cię podnieść. Co ja teraz z tym talerzem... oby się tylko nie rozlało. – Postawiła zupę na stojącym obok łóżka stolku, podkasła rękawy, a następnie z wysiłkiem dźwignęła górną część ciała Gedymina i oparła ją na wysokich poduszkach. Choć była kobietą słusznej postury, a Gedymin kurczył się z roku na rok, zasapała się przy tym co niemiara.

– Co, Gedziu, wygodnie? – wydusiła z siebie nieco łagodniej, ocierając pot z czoła, i zaczęła go karmić.

Gedymin usłyszał jej słowa, ale czy je rozumiał? Tego Lusia nie wiedziała.

Wiele lat minęło od dnia, kiedy poszedł się położyć, i choć miał spędzić w łóżku tylko chwilę, w zasadzie – nie licząc chodzenia do toalety, które stawało się coraz rzadsze, aż w końcu przestało zaprzętać mu głowę – nie wstał aż do teraz. Po kilku latach rozdała należące do niego koszule, wyjściowe swetry i spodnie prasowane w kant, a na targu kupiła kilka par bawełnianych piżam, dopasowując w ten sposób rodzaj ubioru

do okoliczności. Zostawiła tylko szczoteczkę do zębów oraz porządny, szyty na miarę wełniany garnitur, jeszcze z czasów ich wspólnej młodości. Do trumny. Wygląd się Gedyminowi przez ostatnie lata zmienił, mięśni mu znacznie ubyło, bo nie używał nóg, a ręce tylko z rzadka, ale szycie nowego Lusia uznała za przesadę. Kiedy przyjdzie mu legnąć w grobie, tu się podwinie, tam podkasa, a w innym miejscu przyfastryguje, chowając zbędny materiał tam, gdzie nikt nie zagląda, czyli za plecami nieboszczyka, żeby było jak należy – myślała. Gdy go karmiła, lubiła wyobrażać sobie, jak będzie wyglądał w trumnie. Nieraz pytała go, czy woli mieć na sobie wełniane skarpety, czy raczej te śliskie z domu towarowego, albo czy chciałby mieć stypę. W odpowiedzi na niektóre pytania kiwał głową przecząco lub twierdząco, ale na większość w ogóle nie reagował.

Gedyminowi było bowiem zupełnie obojętne, co wydarzy się z nimi po tym, jak serce przestanie pompować krew, a płuca oddychać. Nie obchodziła go śmierć, jego uwagę zajmowała jedynie chwila obecna. Nic już nie musząc, tracąc kontrolę nad własnym umysłem, poddawał się temu, co przynosiło życie. Nie wspominał, nie roztrząsał i nie żałował niczego – z dnia na dzień było zresztą coraz mniej wydarzeń, które mógłby poddać tym zabiegom, bo większość swojego życia zdążył zapomnieć.

Zajął się za to mówieniem. Uprzykrzał tym życie żonie, bo opowieści pojawiały się w nie zawsze stosownym czasie – nierazko w środku nocy lub bladym świtem, kiedy ona sama pragnęła odpocząć. Nieraz do przygotowującej w kuchni posiłki Lusi docierały pojedyncze krzyki, bo słowa – te cichsze i spokojniejsze – nikły w bulgocie gotującej się zupy lub skwierczeniu kotletów na patelni. Gedymin wciąż coś opowiadał – te same motywy, historie i postaci zasiedlały jego umysł na nowo, a może nawet nigdy z niego nie wychodziły. Wybrały go sobie

na medium i były tak natarczywe i męczące, że zaczynało mu z roku na rok brakować słów. Opowiadał więcej i bardziej chaotycznie, bardziej i bardziej niezrozumiale, rozczłonkowując wyrazy na sylaby, wydając okrzyki i gestykulując przy tym tak wyraźnie, jakby miało być to ostatnią deską ratunku przed byciem zapomnianym. Ostatnimi czasy wydawał już z siebie tylko pojedyncze sylaby, które Lusia z anielską cierpliwością ignorowała, nie mogąc ich złożyć w żadną spójną historię. Opowieści snute przez Gedymina nie dotyczyły już niczego, nie zawierały żadnej treści i nawet najtętsze umysły nie zdołałyby z nich wyłuskać choć grama sensu. Nie były rozliczeniem przeszłości ani marzeniami o przyszłości, były raczej Gedyminowym trwaniem.

– Po co komu takie życie jak twoje, co? – Lusia pytała go zaczepnie.

Nie mówiła tego złośliwie (choć stać ją było na złośliwości), naprawdę się nad tym zastanawiała. Patrzyła na jego twarz, na resztki zupy mlecznej w kącikach ust, na uleżane zmarszczki i za nic w świecie nie mogła znaleźć w tym wszystkim odpowiedzi.

Gedymin natomiast wyglądał optymistycznie, jakby kroczący ku południu dzień, choć szary i wietrzny, dodawał mu nadziei. Jak zwykle, układał świat z pojedynczych sylab, wypływając je na zewnątrz wraz z resztkami zupy. Lusia, jak to często bywało, próbowała powstrzymać jego paplanie, wkładając mu do buzi kolejną łyżkę. Chcąc sobie zrobić przerwę od monotonnej narracji, podnosiła się ze stołka, podchodziła do okna, przebiegała wzrokiem otoczenie i wznosiła wzrok ku niebu, obserwując gęstniejące chmury.

– Czysta złośliwość z twojej strony, że nie chcesz zamknąć gęby.

Lusia czekała tylko na odpowiedni moment, by ponownie zatkać go mleczną breją. Przez ostatnie lata opanowała tę sztukę do perfekcji. Doskonale wiedziała, że łyżkę trzeba wsadzić od

razu po otwarciu przez Gedymina ust, jeszcze zanim zdąży zaczerpnąć oddechu. Zdarzało się, że zapatrzysz się w okno lub zapędziwszy w słowach modlitwy, spóźniała się o kilka sekund i wtedy musiała czekać, aż stary skończy swój monolog. Przerwać Gedyminowi nie było można, bo groziło to zakrztuszeniem.

Jak w takiej sytuacji ciąglej czujności myśleć o sprawach boskich? To kolejne pytanie, które tego ranka zadała sobie Lusia.

Lusia lubiła nie tylko wypowiadać słowa modlitwy, ale też o nich myśleć, a najlepiej wyobrażać sobie miejsca, do których się odnoszą. Nieraz miewała z tym problem, bo ogród, w którym Archanioł Gabryjel objawił się Maryi, zlewał się jej w jedno z Ogrójcem na Górze Oliwnej, na dodatek żaden z nich nie był tak interesujący jak ogród Agaty, pełen lawendy, nagietków, pokrzyw i perzu, przy czym te ostatnie rośliny objęły nad nim panowanie, zupełnie jakby to one, a nie ludzie, usłyszały od Boga wezwanie do czynienia sobie ziemi poddaną.

Zazwyczaj tylko siłą nawyku rankiem udawało jej się wytrwać przy modlitwie i przy Gedyminie, jej ciało bowiem chciało jak najszybciej pójść w stronę domu Agaty. Zaniedbania, które przyjaciółka poczyniła w gospodarstwie, były tak duże, że z ludzkiej przyzwoitości należało pójść i jej pomóc, zanim spadnie pierwszy śnieg. Lusia przypominała sobie o resztkach herbacianych róż, które tylko za sprawą cudu mogły przetrwać w zachwaszczonym ogrodzie. Choć ręka ludzka ich nie pilnowała, kwitły prawie całe lato i zasługiwały na to, by owinąć je choćby niewielkim chochołem.

– No, na teraz wystarczy – wycodziła w kierunku Gedymina, rozglądając się nerwowo na boki, bowiem przypomniawszy sobie o różach i Agacie, nie była już w stanie powrócić myślami do brei, którą go karmiła, ani tym bardziej do modlitwy. I dodała, tonem apodyktycznym i nieprzyjemnym: – Mam dziś

sporo do załatwienia, mój drogi. Ktoś musi pracować, żeby ktoś inny mógł leżeć.

Przed wyjściem wytarła Gedyminiowi twarz z resztek zupy i dorzuciła do ognia szufłę węgla, by przygłuszyć wyrzuty sumienia, które miała za każdym razem, gdy zajmowała się sobą, zamiast zajmować się mężem. Na koniec przykryła szczelnie ciało starego kołdrą i poszła w stronę domu Agaty.

Kiedy zamykała furtkę, rozmarzonym spojrzeniem zerkając na falujące na wietrze liście brzozy, nawet nie przypuszczała, jak ogromna zmiana czeka ją w najbliższych dniach.

Sięgnij po więcej!



MOVA



www.mova.com.pl



facebook.com/wydawnictwo.mova



instagram.com/wydawnictwomova